

O związkach myślenia z językiem – Tezy

1. Układem semantycznym (*semantic frame*)¹ nazywam pewną konstrukcję teoretyczną, która w duchu pierwszego Wittgensteina miałyby objaśniać stosunek, w jakim umysł pozostaje do świata. W konstrukcji tej przyjmuje się, że między językiem a umysłem zachodzi odpowiedniość doskonała, czyli że ich elementy są sobie przyporządkowane wzajemnie jednoznacznie. Jest to jednak wielkie uproszczenie sprawy.

Głównym atrybutem umysłu jest świadomość. Czy da się o jej istocie powiedzieć cokolwiek prawdziwie a nietrywialnie? Spróbujmy.

2. Świadomość ma dwie składowe; i tylko dwie. Jedną stanowi *czucie* (inaczej: *wrażliwość*); drugą stanowi *mowa* (inaczej: *język*). Nie jest jednak agregatem swych składowych (ich sumą niejako „skalarną”), lecz syntezą (sumą „wektorową”): pojawiają się w niej nowe właściwości, których nie miała żadna z jej składowych z osobna. W samej tej nowości – zwanej czasem z łacińskiego „*emergencją*”, po polsku „*wynurzeniem się*” – nie ma jeszcze nic nadzwyczajnego. Podobnie dzieje się w reakcji chemicznej, gdy np. sód (srebrzysty metal podobny do aluminium) łączy się z chlorem (zielonkawym, trującym gazem). Reakcja ta: $\text{Na} + \text{Cl} \rightarrow \text{NaCl}$, daje jak wiadomo chlorek sodu, czyli sól kuchenną.

¹ Por. moją *Logic and Metaphysics*, Warszawa 1999, albo moje artykuły *Atoms in Semantic Frames* i *Extending Atomistic Frames* w: „*Logica Trianguli*”, nr 4/2001 i 1/2002.

A ta nie jest ani srebrzysta, ani zielonkawa, ani trująca. Jej nową własnością zaś jest chociażby jadalność.

W syntezie: czucie + mowa → świadomość, powstaje nie tylko coś nowego, lecz nowych właściwości nabierają także oba składniki: same stają się czymś innym, niż były. Albowiem język, do którego dołącza się czucie, staje się myślą; a czucie, do którego dołączył się język, stało się wolą. Tak więc synteza, która stwarza świadomość, ma ostatecznie postać następującą:

czucie + mowa → wola + myśl.

(Podobnie sól traci w soli kuchennej swój metaliczny połysk, chlor – swą jadowitość, same nie stając się przez to słonymi.)

3. Obie składowe świadomości – czucie i język – są od siebie niezależne: mogą występować także osobno. Bywa czucie bez języka: tak jest u zwierząt. Czucie jest nam z nimi wspólne, takie u nas, jak u kota czy pawiana. I odwrotnie, bywa język bez czucia: tak jest w komputerach – jeżeli jeszcze nie w dzisiejszych, to w którejś ich następnej generacji. Bo komputery przemówią na pewno, spełniając tym samym test Turinga. W pewnym stopniu robią to już dziś, grając np. z nami w szachy albo dowodząc nam twierdzeń logiki modalnej. Ludzie to zarazem czujące komputery i mówiące zwierzęta. Teorię ewolucji trzeba wreszcie wziąć w filozofii na serio.

W stwierdzeniu, że czucie mamy wspólne ze zwierzętami, nie ma nic specjalnie nowego: to arystotelizm. Tym większą hańbą jest niewiarygodne okrucieństwo, z jakim w naszej cywilizacji – która ma się za „humanitarną” – traktowane są zwierzęta: bydło i konie, psy i koty, gęsi i kury. Jeżeli tę liberalno-hedoniczną cywilizację trafi jakiś grom – a zwiastuny już są – to będzie można tylko rzec, że setnie sobie na to zasłużyła.

Ojciec Bocheński pisze: „powinniśmy unikać okrucieństw wobec zwierząt nie ze względu na same zwierzęta, ale dlatego, że okrucieństwo wobec nich paczy ludzki charakter i prowadzi do okrucieństwa wobec ludzi”². Jak mógł być dawny tomista, więc arystotelik, napisać tak ponurą bzdurę?

² J. Bocheński, *Sto zabobonów*, Kraków 1992, s. 141.

4. Praformą czucia jest ból. W nim najbardziej dojmująco czujemy swe własne istnienie: swoje – jak mówią niektórzy – bycie sobą czy też – jak mówi Miłosz – swoją „samosobność”. Inne formy czucia są względem niego wtórne. Tak np. praformą przyjemności jest uczucie ulgi, gdy ból przycicha, a nasze czucie wraca do swej hedonicznie zerowej normy.

Koniec końców świadomość zrodziła się z bólu i jest on dalej jej nieodłącznym towarzyszem, idzie za nią jak cień. Mieć świadomość znaczy odczuwać, a odczuwać znaczy być podatnym na ból.

Okrucieństwu wobec zwierząt trzeba się sprzeciwiać ze wszech sił, a nie tylko – jak chce Bocheński – ze względu na własny nasz interes (że może zaszkodzić nam samym). Trzeba się mu sprzeciwiać przez poczucie naszej wspólnoty losu z nimi: tego, że pośród istot czujących, ból jest wszędzie taki sam – i tak samo straszny.

5. Praforma mowy nie jest znana. Genetycznie mowa wyłoniła się na pewno z kodów zwierzęcych, ale różni się od nich zasadniczo tym, że ma składnię. Praforma mowy pokrywa się zatem z praformą składni. Przejście od kodów czysto zwierzęcych – tych, którymi w dolnym paleolicie posługiwał się poprzednik człowieka z Cro-Magnon i współcześni owemu poprzednikowi neandertalczyki – do ludzkiego języka, czyli do systemu znaków wyraźnie już nie-zwierzęcego, dokonało się kilkadziesiąt tysięcy lat temu, w paleolicie górnym. Na czym przejście to mogło polegać w swej fazie najwcześniejszej?

W tej sprawie mam pewne własne ciche domniemanie. Przypuszczam mianowicie, że pierwszym krokiem, jakiego praczłowiek dokonał w kierunku składni, było pojawienie się w jego zwierzęcym kodzie odpowiednika naszej negacji. Z tą chwilą kod przestał być zwierzęcym: zwierzęta nie przeczą. Jednakże nie stał się przez to jeszcze ludzkim językiem, gdyż brak mu było nadal głównego atrybutu wszelkiej składni: dwuklasowości.

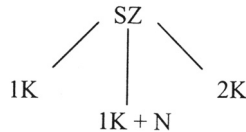
Za Bühlerem³ dzielimy wszystkie systemy znaków (SZ) na systemy „jednoklasowe” (1K), czyli kody, i „dwuklasowe” (2K),

³ K. Bühler, *Sprachtheorie*, Jena 1934.

czyli języki. W kodzie wszystkie znaki samodzielnie znaczące („kategorematyczne”) – tzn. takie, że każdy z osobna odnosi się do czegoś w świecie – należą do jednej klasy: do klasy sygnałów. Natomiast w języku mamy dwie takie klasy: klasę zdań i klasę nazw. A klasa sygnałów znika.

Przykładem znaków niesamodzielnie znaczących („synkategorematycznych”) są nawiasy i wszelkie operatory. Co odpowiada w świecie znakowi „(” albo „)”? Nic! A jednak wyrażenie „ $9 - (5 - 2)$ ” oznacza co innego niż „ $(9 - 5) - 2$ ”, bo to oznacza liczbę dwa, a tamto liczbę sześć.

Paleolityczne przejście od systemu 1K do systemu 1K+N – od kodu do kodu z negacją – było krokiem olbrzymim i trwało zapewne tysiące lat. Było bowiem przejściem od kodu do protojęzyka:



O budowie gramatycznej takiego protojęzyka może dać pewne wyobrażenie zwykły dzisiejszy rachunek zdań. Odpowiednik koniunkcji występuje bowiem już na poziomie zwierzęcym, mianowicie jako kod iloczynowy, którego sygnały są parami sygnałów prostszych⁴. Gdy do takiego „kodu z koniunkcją” dodać jeszcze negację, to jest już w nim *in potentia* cały rachunek zdań: najuboższy, ale i najbardziej fundamentalny fragment logiki. Tak więc negacja wprowadza do kodu logikę.

6. Można rzec, że negacja zrobiła z nas ludzi. Jak ból jest praformą czucia, tak negacja jest praformą mowy: najpierwotniejszym zaczątkiem składni. Dzięki niej w skądinąd całkiem jeszcze zwierzęcym kodzie pracłowieka pojawiła się możliwość przekazywania sygnałów zupełnie nowego typu: sygnałów zaprzeczonych. Inaczej mówiąc: z negacją pojawia się w kodzie operator sygnałowy, który pozwala z dowolnego sygnału wytworzyć łatwo sygnał nowy. Sygnał ów ma nowe znaczenie,

⁴ Patrz B. Wolniewicz, *Filozofia i wartości II*, wyd. 2, Warszawa 2018, rozdział „Języki i kody”, s. 44–62.

ale to znaczenie jest funkcją znaczenia tamtego i dzięki temu żadnych objaśnień nie wymaga: rozumie się samo przez się. Przedtem, by wyrazić treść przeciwną danemu sygnałowi – np. sygnałowi „idź!”, by go odwołać – trzeba było nowego sygnału prostego „stój!”, wprowadzonego do kodu przez osobne, indywidualne objaśnienie. Teraz już go nie potrzeba: nadaje się sygnał zaprzeczony „nie-idź!”, który bez objaśnień rozumie każdy, kto tylko rozumie sygnał „idź!”, a umie posługiwać się jak należy tym uniwersalnym operatorem.

Nie należy oczywiście mylić złożonego syntaktycznie sygnału zaprzeczonego „nie-idź!” z syntaktycznie prostym sygnałem zaprzecznym „stój!”, choć tutaj znaczą to samo. Bierze się to stąd, że mamy do czynienia z kodem binarnym (czyli dwusygnałowym), w którym para zaprzecznych wzajem sygnałów wyczerpuje pewien ogół wykluczających się możliwości: swoją przestrzeń logiczną. (Podobnie jak pary „ciepło! – zimno!”, „sucho! – mokro!” itp.) Jednakże daleko nie wszystkie kody są binarne. Dominują kody wielosygnałowe, z dowolną skończoną albo i nieskończoną ilością sygnałów. W kodach zwierzęcych są sygnały zaprzeczne, nie ma zaprzeczonych. Pies łasi się i pies warczy: oto dwa wzajem zaprzeczne sygnały psiego kodu. Ale warczenie nie jest negacją łaszenia się, bo jako sygnał nie jest z łaszenia się zbudowane. Język buduje znaki; kod emituje je jako całości.

7. W kodzie binarnym sygnał zaprzeczny do danego – jak „stój!” do „idź!” – jest pewną stałą sygnałową tak samo jak tamten. Swą rolę zaprzeczną pełni tylko w obrębie tego jednego kodu. Gdy natomiast kod nie jest binarny – lecz np. ternarny jak kod „ciepło! – letnio! – zimno!” – wtedy każdy sygnał prosty ma w nim wiele nierównoznacznych sygnałów zaprzecznych. Tak np. w ternarnym każdy ma po dwa.

Inaczej jest z sygnałem zaprzecznym, jak „nie-idź!” czy „nie-ciepło!”. Taki sygnał jest wartością pewnej funkcji sygnałowej, dla której inny sygnał był argumentem, jak „idź!” czy „ciepło!”. Jest to więc sygnał syntaktycznie złożony, choć nie ma w nim podmiotu ani orzeczenia.

Negacja ma jako funkcja dwie ważne właściwości sygnalizacyjne. Zauważmy po pierwsze, że sygnał zaprzeczony jest

zaprzecznym, choć nie na odwrót, rzecz jasna. Tak więc do każdego sygnału prostego negacja wytwarza sygnał względem niego zaprzeczny – i to taki, który stanowi wraz z nim pełny kod binarny. Na przykład kody „idź! – nie-idź!”, „ciepło! – nie-ciepło!”, i bezlik podobnych. Negacja jest uniwersalnym narzędziem tworzenia kodów binarnych.

Po drugie zauważmy, że na dany system jednoklasowy 1K może się składać wiele kodów wzajem niezależnych. O takiej składance kodów powiemy, że jest to wielowymiarowy system 1K, a o połączonych w niej kodach – że to jego „wymiarzy”. W protojęzyku 1K + N, który się z takiego wielowymiarowego systemu 1K wywodzi, nie potrzeba dla każdego wymiaru osobnej negacji: jedna starczy dla wszystkich. (W różnych wymiarach może się ona różnić co najwyżej fonetycznie: materią znaku, nie jego sensem.)

W systemie wielowymiarowym negacja działa w dwóch krokach. Niech system ten składa się ze wskazanego ternarnego kodu temperatury oraz z binarnego kodu wilgotności „sucho! – mokro!”. I niech argumentem będzie sygnał „zimno!”. Wtedy negacja wybiera najpierw w tym dwuwymiarowym protojęzyku ten wymiar, z którego ów argument pochodzi. Następnie zaś skraca go o ów argument, przez co sygnał zaprzeczony „nie-zimno!” staje się w tym systemie równoznaczny sygnałowi alternatywnemu „ciepło-lub-letnio!”. Innych wymiarów niż wymiar jej argumentu negacja nie tyka.

8. Język J jest to ogół możliwych zdań. Jednakże wszelkie zdanie – rzeczywiste czy możliwe – jest kombinacją rzeczywistych nazw. Są zdania możliwe, nie ma możliwych nazw. Ogół nazw stanowi tezaurus T języka J , zwany zwykle jego słownikiem. Oczywiście, tezaurus jest zawsze w całości rzeczywisty.

Język obejmuje swój tezaurus: $T \subseteq J$. „Ogół zdań” znaczy bowiem „zbiór wszystkich zdań”: $J = \{a: a \text{ jest zdaniem}\}$. Same zdania nie są żadnymi zbiorami, lecz tworam – rzeczywistymi lub tylko możliwymi – w których owe zawsze rzeczywiste nazwy jakoś „tkwią”. Jest przy tym tak, że dla każdej nazwy przynajmniej jedno zdanie, w którym ona tkwi, musi być rzeczywiste. Na tym polega rzeczywistość słownika.

Niech J_r będzie rzeczywistą częścią języka J : ogółem tych zdań, które gdzieś już faktycznie wypowiedziano lub napisano.

Tak więc $J_r \subset J$. „Obejmowanie” tezaury przez język definiujemy tak: $\wedge t \in T \vee a \in J_r: W(t,a)$, przy czym końcową formułę czytamy: „nazwa t występuje w zdaniu a ”. Elementami zbioru J są zdania; nazwy są składnikami tych elementów. Mówimy krótko, że nazwy są subelementami zbioru J .

W języku J jego część J_r stale się rozrasta. W pewien sposób rozrasta się też tezaurus T , a z nim także sam język J , ale są to jego rozszerzenia nieistotne, bo przez definicje równościowe. Rozszerza się tam jedynie fonetykę języka, jego semantyka – czyli ilość wyrażalnych w nim sensów – pozostaje bez zmian. Gdy natomiast dołączyć do tezaury T jakiś termin nowy t , równościowo w języku J niedefiniowalny, to w efekcie powstaje nowy język J' , z nowym tezaurem $T' = T \cup \{t\}$.

9. Umysł to ogół możliwych myśli. Staje się nim język J , gdy wchodzi w syntezę z czuciem, a jego możliwe zdania stają się tym samym możliwymi myślami.

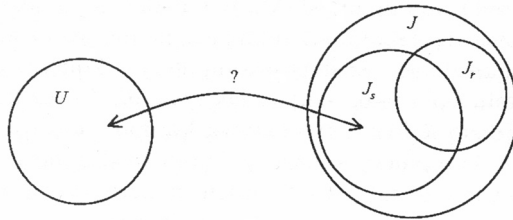
Komputer to nie umysł. Ma wprawdzie swój język, w którym można się z nim komunikować, ale nie ma czucia – przynajmniej jak dotąd. Dzisiejsze komputery to konstrukcje z krzemu, metalu i plastiku, martwe jak gwoźdź. Coraz bardziej realna staje się jednak perspektywa komputerów ożywionych. Byłyby to komputery – o czym się już myśli i mówi – w które wmontowany został jakiś fragment materii żywej, np. zespół neuronów wzięty z mózgu zwierzęcia albo i człowieka. I co wtedy rzec: umysł to czy nie?

10. Jak wiążą się ze sobą te dwa zbiory: ogół zdań J i ogół myśli U ? Nie jest to związek prosty. Przede wszystkim nie ma tam odpowiedniości wzajemnie jednoznacznej. A już na pewno nie jest tak, by zdania tylko „wrażały” myśli, które mogą istnieć także bez nich. Bez zdań nie ma myśli: przez czucie zdanie ożywa jako myśl, przez zdanie czucie się w myśl ukształca.

Wyrażanie myśli w zdaniach przypomina raczej przekład z jednego języka na drugi. Idziemy tu za Platonem, który w „Sofistice” (264 A) powiada, że myśl jest to „rozmowa duszy samej z sobą”, a „sąd” – czyli zdanie – jest „wykończeniem myśli”. Jak komputer, umysł ma swój język wewnętrzny, w którym myśli, i któremu daje wyraz przekładając go na zewnętrzny.

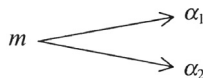
W *Traktacie* Wittgensteina teza 4 głosi: „Myśl jest to zdanie sensowne”. Przyjmujemy ją za własną. Tak więc nie każdemu zdaniu z J odpowiada w U jakaś myśl, lecz jedynie niektórym: tym „sensownym”. W języku są bowiem także zdania inne. Jedne z nich są bezsensowne: są nimi tautologie („jeżeli mokro, to mokro”) i sprzeczności („mokro i nie mokro”). Nie odpowiada im w U żadna myśl: są treściowo pustymi trybami w logicznej maszynerii języka. Bez nich nie ma myślenia, choć same myślami nie są. Inne są niedorzeczne: gramatycznie wyglądają na poprawne i sensowne, nie są ani tautologią, ani sprzecznością, a jednak coś jest z nimi nie w porządku: jak z pytaniem „co robi wiatr, gdy nie wieje?”. W poszczególnym przypadku zwykle dość łatwo wskazać, czego takiemu zdaniu brak; ale ogólnie – bardzo trudno.

Odpowiedniość może zachodzić jedynie między umysłem a ową sensowną częścią języka. Oznaczmy ją przez J_s . Rozważamy zatem związek jak na rysunku.



Odpowiedniość doskonałą między zbiorami U i J_s naruszają dwa dobrze znane zjawiska językowe, i to naruszają w obie strony: jedno w jedną, drugie w drugą. Są nimi zjawisko równoznaczności znaków (zwane też ich „synonimią”) i zjawisko ich wieloznaczności (zwane też ich „homonimią”).

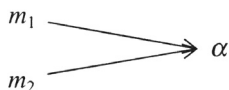
Równoznaczność sprawia, że ta sama myśl m może mieć w języku wiele odpowiedników ją tam wyrażających:



Przyjmijmy odtąd dla uproszczenia, że każde dwa zdania logicznie równoważne wyrażają tę samą treść myślową, czyli mają

ten sam sens. Tak więc zdanie „pada i grzmi” ma ten sam sens co zdanie „grzmi i pada”; a zdanie „jeżeli pada, to mokro” ten sam co zdanie „jeżeli nie mokro, to nie pada”. Są to zdaniowe synonimy.

Wieloznaczność sprawia odwrotnie, że różne myśli mogą się wyrażać w tym samym zdaniu. Czyli tak:



11. Z równoznacznością zdań można sobie poradzić stosunkowo łatwo. Reprezentantem danej myśli w języku jest wtedy nie pojedyncze zdanie α , lecz cała ich klasa $/\alpha/$, w której każde dwa są sobie logicznie równoważne. Dopiero ta klasa wyraża ową myśl w pełni. Wyobrażamy sobie myśl jako bryłę o wielu ścianach, z których każda odpowiada innemu zdaniu. (Jako pewien *Bedeutungskörper*, jak mawiał późny Wittgenstein.) Osobliwością takiego „wielościanu znaczeń” jest to, że każda z jego ścian sama wyznacza już wszystkie pozostałe i określa kształt całej bryły.

Trudniej jest z wieloznacznością zdań. Rzecz jednak nie w wieloznacznościach trywialnych – jak w zdaniu „szukam dziadka”, gdzie raz mowa o starszej osobie, a raz o pewnym przyrządzie kuchennym. Takie wieloznaczności eliminuje się dość łatwo – przynajmniej w teorii – przez indeksację zdań, czyli przez ich sztuczne rozmnożenie. (Pisząc np. raz „szukam dziadka₁”, a raz „szukam dziadka₂”.) Rzeczywistą trudność nastroczają wieloznaczności całkiem innego rodzaju: te, w których różne wyrażalne w danym zdaniu myśli mało się od siebie różnią. I to czasem tak mało, że trzeba aż geniuszu, żeby je od siebie odróżnić i jasno tę różnicę uprzytomnić. Taką wieloznaczność zdań będziemy nazywać *migotliwą*, gdyż zdanie mieni się nam wtedy swymi różnymi sensami, przeskakując stale z jednego na drugi. Przykładem niech będzie chociażby teza 4.121c *Traktatu*: „Co się w języku samo wyraża, tego my wyrazić przezeń nie możemy”. Trafiając na taką tezę, czujemy napór różnych myśli, które mającą nam jak zjawy w półmroku – różne a pokrewne. Ich różnica nie taka jest jak między „dziadkami”.

12. Pojęcie „wieloznaczności migotliwej” zilustrujemy bliżej pewnym znanym przykładem: jedenastą tezą Marksa „o Feuerbachu”. Wybieramy ją nie dlatego, że migotliwsza od innych, lecz dlatego, że daje ilustrację logicznie czystą. O takie zaś nie łatwo. „Najtrudniej zawsze o dobre przykłady”, mawiał Elzenberg. (Podobnie Ajdukiewicz: „Łatwiej zrobić teorię, niż znaleźć dobry przykład.”) Dlatego dobry przykład raz znaleziony – jak ów „śmiertelny Sokrates” czy „Gwiazda Poranna” – jest potem powtarzany przez wieki, jakby był jedynym. Jego czystość polega na tym, że jest prosty a pełny: pokazuje wszystko, co w sprawie istotne, a niczego, co zbędne. Jest skrojony na miarę.

Oto teza Marksa: „Filozofowie tylko rozmaicie interpretowali świat, chodzi zaś o to, by go zmienić”. Będziemy ją nazywać „formułą M”. Trywialnych wieloznaczności w niej nie ma, ale są inne.

Przede wszystkim: jaki kwantyfikator stoi niejawnie w formule M? Mówi się tam „filozofowie”; ale czy to znaczy, że „wszyscy”, czy że „niektórzy”, czy może że „wszyscy, ale z pewnej ich kategorii” – np. wszyscy ci epigoni Hegla, z Feuerbachem włącznie, wśród których Marks za młodu się obracał. Termin „filozofowie” wskazuje tu jedynie uniwersum, po którym się kwantyfikuje – ale jakim kwantyfikatorem: dużym „ $\wedge x$ ”, małym „ $\vee x$ ” czy może dużym, lecz o ograniczonym zakresie „ $\wedge x \in H$ ”? Każda kwantyfikacja nadaje formule M inny sens, a jakaś być tam musi, bo inaczej nie byłoby w ogóle „tezy”. Mamy więc trzy różne – dopuszczalne a nierównoważne – znaczenia formuły M; i każde może pretendować, że właśnie je miał Marks na myśli.

Dalej: słowo „świat” może w formule M znaczyć co najmniej jedno z dwojga: bądź „świat przyrody”, czyli wszechświat, bądź „świat społeczny”, czyli społeczeństwo. Znaczenia te nie zależą od poprzedniej kwantyfikacji, zatem formuła M ma już $3 \times 2 = 6$ dopuszczalnych językowo sensów.

Dalej: orzeczenie „interpretowali” w formule M można rozumieć przynajmniej czworako: jako „opisywali”, jako „objaśniali”, jako „oceniali” i jako „usenowniali” (= doszukiwali się w świecie jakiegoś sensu). Ostatnie byłoby dla heglizmu nawet dość charakterystyczne. Ta wieloznaczność znów nie zależy od poprzednich, więc dla formuły M mamy już $6 \times 4 = 24$ znaczenia.

I wreszcie: fraza „chodzi o to, by go zmienić” jest w formule M dwuznaczna podwójnie. Po pierwsze: czy to filozofia ma zmie-